

MOI BRACIA

— Gerhard, weź Zygmunta za rękę i jeśli chcecie, wy również możecie pójść do szkoły. Ale uważaj, nie zostawiaj go samego, by się pośpieszyć lub brykać z kolegami!

Tak upominała mnie matka prawie codziennie, gdy wybierałem się z bratem do szkoły. Był o rok starszy ode mnie, ale na skutek tzw. „choroby angielskiej” znacznie słabszy i bardzo nieśmiały, można powiedzieć, bojaźliwy. Wspólnie nieraz pozwalaliśmy sobie na bijatyki z chłopakami. Dzieliliśmy się łupami, którymi bywały sąsiedzkie gruszki lub zwędzone gdzieś pieniądze.

Nawrócił się kilka dni po mnie i był bardzo szczęśliwy. Wujek powstrzymał go przed chrztem. A on stał na brzegu rzeki, patrzył na mój chrzest i gorzko płakał. Rok później dał się ochrzcić. W nim również tkwiła wrodzona złość. Najbardziej odczuwały to konie, zwłaszcza w letnie upalne dni, kiedy musiał orać nimi kamieniste pole. Nawet je kopał. Syn sąsiada, Hugo, opowiedział mi parę lat temu taką oto rzecz:

Latem, po nawróceniu Zygmunt orał stary i bardzo twardy zagon koniczyny. Było gorąco i parno. Konie źle ciągnęły. Twarda ziemia sprawiała im wiele trudu. Hugo był bardzo ciekaw, co ten nawrócony teraz robi, bo mówiono dokoła we wsi, że dręczył konie. Zygmunt zatrzymał. Nie wyszedł jednak przed konie, jak zwykle przy takich okazjach, aby je skopać, lecz dalej stał za pługiem. Nie oglądając się, ukląkł, wznosił ręce ku niebu i głośno się modlił. Za jakieś pół godziny zabrał się dalej do pług. Konie były już wypoczęte. Śpiewał.

Ponieważ najwięcej z całego rodzeństwa pracował na gospodarce rodziców, miał też ją odziedziczyć. Musiał jednak pozostałym braciom i siostrze wypłacić ich udziały. W podobnej sytuacji synowie chłopscy żenili się z córkami bogatych rolników. Zygmunt wiedział, że powinien wziąć sobie za żonę jedynie dziewczynę wierzącą. Nie był jednak stanowczy i dał się szybko namówić. Ale niebawem bardzo tego żałował i starał się to naprawić. Poradzono mu, by wziął sobie pannę z sąsiedniej wsi. Początkowo wahał się, ale później się zgodził. Niebawem był już zaręczony. Powiedział jej o swym nawróceniu, ale nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia, gdyż raczej stroniła od wierzących. Krewni chcieli jednak wprowadzić ją do rodziny, bo była bogata.

Uczęszczałem wtedy do Szkoły Biblijnej w Gdańsku i co jakiś czas odwiedzałem swą rodzinną wieś. Teraz przyjechałem właśnie po tych zaręczynach. Musiałem wygłosić kazanie na temat Lota, jego przywiązania do spraw ziemskich i końcowego etapu jego życia, jakim było piekło. Bóg był obecny — czułem bliskość Jego Ducha. Po kazaniu padliśmy wszyscy na kolana. Gdy czuliśmy wśród siebie Ducha Bożego i jeden po drugim zaczęliśmy głośną modlitwę, doznawałem wewnętrznego przynaglenia, by spojrzeć na Zygmunta. Zobaczyłem, jak po policzkach spływają mu łzy. A potem zdjął z palca pierścione zaręczynowy, wznosił ręce i powierzył Bogu swą drogę życiową, prosząc Go o wybaczenie. Przeprosił na klęczkach również swe rodzeństwo. Następnie zaczął wielbić Pana jako swego Zbawiciela i opiekuna.

We wsi oczywiście szeroko rozwodzono się nad jego postanowieniem. Zygmunt jednak nadal się cieszył, że zerwał z narzeczoną, zgodnie ze swym sumieniem. Potem ożenił się z pewną biedną dziewczyną, której rodzice pracowali na folwarku. Wkrótce został zarządcą wielkiego majątku w sąsiednim powiecie.

Często słyszałem, jak śpiewał sam wschodnią pieśń, której refren brzmiał: „Rosjo, Rosjo, idziemy ci z pomocą. Zbawiciel umarł również za ciebie”. Łzy spływały wówczas po jego twarzy i modlił się gorliwie

za ten naród. W sierpniu 1942 on również poległ w Rosji. Ostatni jego list do mnie był jakby listem pożegnalnym. Pisał: „Pozostało nas jeszcze 7 z kompanii. Właśnie parę odłamków wyjąłem z kołnierza. Testament mam ze sobą i modłę się...” Na drugim brzegu zobaczymy się ponownie.

Młodszy brat Erich urodził się jesienią 1919, w rok po powrocie ojca z Syberii. Był bardzo podobny do Roberta, najstarszego brata. Ojciec szczególnie go kochał, bo był to pierwszy syn po 4-letniej bolesnej rozłące.

Po moim nawróceniu również on doznał przebudzenia. Ale nie od razu oddał życie Bogu, lecz się wahał. Uczył się ślusarstwa. W ciągu dnia dużo było we wsi ruchu, jak to na wiosce. A jak kto nie miał roboty, szedł sobie pogadać do kuźni. W owym czasie wiele mówiono wśród młodzieży o nawróceniach. Erich też dołożył swoje trzy grosze i zaczął żartować sobie z innymi na temat nowo nawróconych. Stał właśnie przy wiertarce. Jakoś nieszczęśliwie palec dostał mu się pod wiertło. Skończyło się to amputacją.

Dwa lata później Pan nawiedził ponownie naszą wioskę i niektórzy zaczęli nowe życie. Również Erich przychodził na zgromadzenia. Bracia i siostry dostrzegali, jak bardzo działał w nim Duch Boży. Ale i teraz był oporny. Po jakimś czasie znów się zdarzyło, że kilku chłopaków przyszło do kuźni, by pożartować z nowo nawróconych rówieśników. Dołączył do tego Erich. I oto znów wydarzył się wypadek. Otóż wpadł mu do oka wiór. Przerażony opuścił kuźnię i pomknął do lekarza.

Jakiś czas potem przeszedł przez „zieloną granicę” do Niemiec. Był rok 1937. Wkrótce znalazł się w szeregach Hitlerjugend. Duszę jego wypełniał jad i nienawiść do Żydów. Ojciec natomiast zwykł często prowadzić przyjacielskie rozmowy z żydowskimi handlarzami, zwłaszcza po dobieciu jakiegoś targu. I chociaż nierzadko zdarzało się, że go oszukali, to za każdym razem opowiadał im o Mesjaszu. Handlarze opuszczali nasz dom głęboko poruszeni. Nieraz widziałem, jak ocierali sobie łzy. Ojciec prenumerował gazety żydowskie: „Przyjaciel Syjonu” i „Nadzieja Izraela”.

Teraz jednak był już u Pana. W maju 1933 zmarł na dolegliwości serca, jakich nabawił się w czasie pobytu na Syberii.

Przekonałem się, że ci, którzy poznali Prawdę, ale nie byli skłonni jej słuchać i oddać życia Jezusowi, wpadali prędzej czy później w nowy prąd z Zachodu, w hitleryzm.

Stawali się wówczas gorsi od tych, którzy niczego się nie nauczyli o zbawieniu Pańskim.

Później ci, którzy byli już wierzący, ale zamknęli się na dalsze Prawdy Boże lub nawet je zwalczali, nie rozpoznali tego ducha piekielnego, który potrafił maskować się gorliwą religijnością. Przywódcy, wśród nich także przełożeni, którzy swego czasu stawiali opór działaniu Ducha Świętego i wyrażali się obelżywie na temat Jego wylania, zostali porwani przez ten antychrześcijański strumień i utonęli w jego odmętach. Przełożeni małych społeczności mieli niekiedy więcej informacji i orientacji w tej sprawie, niż znani szeroko ewangelisci i kaznodzieje. Kto nie znajdował się w przystani Jezusa Chrystusa, stał się ofiarą tej brudnej ideologii.

Gdy po wejściu Niemców mój brat wrócił do naszej wioski rodzinnej, byłem zdumiony jego nienawiścią do Żydów. Reagował zupełnie inaczej niż dawniej. Instynktownie bałem się go i uważałem na to, co mówię. Moje drugie kazanie po nawróceniu opierało się na 13 rozdziale Ewangelii św. Marka, gdzie jest powiedziane: „I wyda na śmierć brat brata...” Pamiętałem o tym słowie. Jednakże upomniałem brata, by skierował się sercem do Jezusa. Ale natrafiłem na granit; zaczął mi po prostu grozić. Pewnego dnia

powiedział do mnie przy matce i młodszym bracie:

— Gerhard, przestań mi gadać o tym żydowskim synu. Wkrótce z nimi zrobimy porządek, potem weźmiemy za kołnierz również was, zielonoświątkowców.

Twarde i nieprzejednane było spojrzenie jego oczu. Wiedziałem, że opanował go inny duch, hitlerowski. Teraz mogłem już tylko się modlić.

On też poszedł do kuźni i przywitał się ze starymi kumplami. I znowu wzięli na języki ludzi pobożnych i zaczęli się z nich nabijać. Owego ranka brat Emil Witzke poczuł jakiś przymus wewnętrzny, by pójść do kuźni. A przez niego często objawiały się dary Ducha. Właśnie wszedł, gdy mój brat głośno nadał bluźnił, nie licząc się bynajmniej z wejściem Emila. Ten wówczas podszedł śmiało do niego, położył mu rękę na ramieniu i rzekł dobitnie:

— Erich, pierwszy raz zapłaciłeś za to palcem, drugi raz okiem; uważaj teraz, żebyś nie zapłacił za to życiem.

Erich bez słowa wyszedł z kuźni. Pod wieczór wprowadzał wóz do stodoły. Zazwyczaj był zwinny i silny. A teraz coś mu się stało. Jakaś żyła w nim pękła i poczuł okropny ból. Temperatura podskoczyła prawie do 41°. Szybko zabrano go do szpitala. Jednakże ludzie stanęli przed zagadką. Całe konsylium lekarskie natychmiast zwołane, nie potrafiło mu pomóc. Po dwóch dobach już nie żył.

We wsi podawano sobie z ust do ust: „Wyrok Boży!” Również niewierzący, będący pod wpływem hitleryzmu, przekazywali sobie tę nowinę szeptem. Nikt nie ośmielił się donosić na wierzących władzom. Śmierć mego brata wszystkich zaszokowała.

Spośród mych rodzonych braci jeszcze jeden stoi mi przed oczyma. Miał imię Ewald, które dostał po siódmym bracie, zmarłym parę miesięcy po urodzeniu. Ewald był słabowity, podatny na choroby. Wyrósł jednak na dryblasę i już w wieku lat 16 miał prawie 190 cm. Dalej już nie rósł. Wyróżniał się zdolnościami muzycznymi i lubił śpiewać.

Gdy wybuchła wojna, miał 13 lat. Zabrano go niebawem do Hitlerjugend, choćby ze względu na wzrost. Był on szeroko otwarty na Słowo Boże. Mogłem z nim rozmawiać o Jezusie. Chętnie słuchał. A wtedy właśnie nasze drogi rozeszły się. Wciągnięto go do SS i wyładował w kancelarii obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Od niego dowiedziałem się o okropnościach, jakie tam się działy. Gdy w końcu dostał urlop, powiedział:

— Mamo, nie wrócę już tam, nie, mamo, nie...

— Złapią cię i zabiją...

— Nie, mamo, nie wrócę już tam. Wkrótce przyjdą Rosjanie, to wezmę ciebie i uciekniemy razem na Zachód.

I tak się stało. Ale po drodze został zatrzymany przez Polaków z żandarmerii. Aresztowano i sąd wojskowy skazał go na śmierć.

Wyroki takie wykonywano natychmiast. Widział jak wieszano żołnierzy. Wtedy zawołała matka do Boga

— publicznie wezwała Go na pomoc: „Boże, czterech synów straciłam, a tego mają mi powiesić!” Bóg wysłuchał jej modlitwy. Wyłączono go spośród skazanych i wysłano przepelnionym pociągiem, wraz z konwojentem do pewnej placówki SS. Po drodze udało mu się przy pomocy ziomków oswobodzić od konwojenta i zniszczyć papiery. Bez dokumentów zameldował się w jednostce wojskowej, niby jako maruder i został wkrótce wysłany na zbliżający się front, w charakterze żołnierza rezerwisty. W czasie kapitulacji udało mu się uciec przed rosyjskimi jednostkami frontowymi, a rosyjskie władze okupacyjne wysłały go na Zachód jako ciężko chorego na gruźlicę. Jego młodzieńcza twarz i pocziwy wygląd wzbudziły współczucie pewnego wyższego oficera. Potraktował go nieomal po ojcowsku. Udało mu się przetransportować go niebawem do strefy amerykańskiej. Zobaczyłem się z nim wreszcie, gdy już przebywał w sanatorium przeciwgruźliczym w Sonnenblick, niedaleko Marburga nad Lahn. Wtedy pragnął jedynie pokoju z Bogiem. Po tych wszystkich okropnościach, jakie widział w Mauthausen, czuł się załamany i nie chciał już żyć na tej ziemi. Trzy dni przed śmiercią przeżywał radość i szczęście u boku Jezusa. Wiedział, iż wkrótce Pan powoła go do siebie. Nie mogłem pojechać na jego pogrzeb, bo miałem wtedy ewangelizację. Ale tam, po drugiej stronie on również czeka na mnie.